

MAGDALENA RUDKOWSKA
(Instytut Badań Literackich PAN)

OSTAP ORTWIN O PUBLICZNOŚCI LWOWSKIEJ Z POSTRZELONEGO RĘKOPISU

Niepublikowany dotychczas artykuł Ostapa Ortwina (właśc. Oskara Katzenellenboga, 1876–1942) pochodzi z archiwum Zenona Przesmyckiego (a dokładniej z teki redakcyjnej „Chimery”), przechowywanego w Bibliotece Narodowej (rps 5407 II). Został spisany jednostronnie na siedemnastu kartach formatu 21 × 16,5 cm. Oryginalnie artykuł (inc. „Pędzimy duchowy żywot drobnoustrojowców”) nie ma tytułu, a zawarte w nim informacje pozwalają datować go na koniec 1900 roku. Poświadczą to również odnaleziony wśród korespondencji Przesmyckiego list Ortwina, pisany we Lwowie 8 grudnia 1900. Mowa w nim o konkursie ogłoszonym przez redakcję „Chimery” na felietonową korespondencję ze Lwowa. Powołując się na kontakty ze Stanisławem Brzozowskim i Leopoldem Staffem, Ortwin anonsuje próbkę swojej korespondencji dotyczącej wydarzeń kulturalnych mijającego roku.

Lwów, 8 XII [1900]

Szanowny Panie!

Korzystając z zachęty i informacji p. St. Brzozowskiego, posyłam na nalegania kolegi Staffa konkursowy koncept korespondencji ze Lwowa dla „Chimery”. Obawiam się, czy nie za późno, ale zajęcia nie pozwalały mi dotychczas się z tym załatwić.

Do zwycięskiego wyjścia z tych wyścigów nie mam pretensji i nie roszczę sobie wielkiej nadziei, choć nie taję, że dostać się do „Chimery” byłoby moim gorącym pragnieniem. Nie wiem, czy uczyniłem zadość żądanym wymaganiom i zdaje mi się, że stylowo nieco bawię się w radykała. Ale *naturam expellas furca...*¹ czy jak tam. W każdym razie dziękuję za zaszczytne dla mnie zaprosiny.

Z szacunkiem
Ostap Ortwin²

¹ W pełnym brzmieniu: *Naturam expellas furca, tamen usque recurret* – „Choćbyś naturę wypędział widłami, ona zawsze powróci” (Horacy). Nb. taki tytuł będzie nosił jeden z rozdziałów *Pałuby* Karola Irzykowskiego.

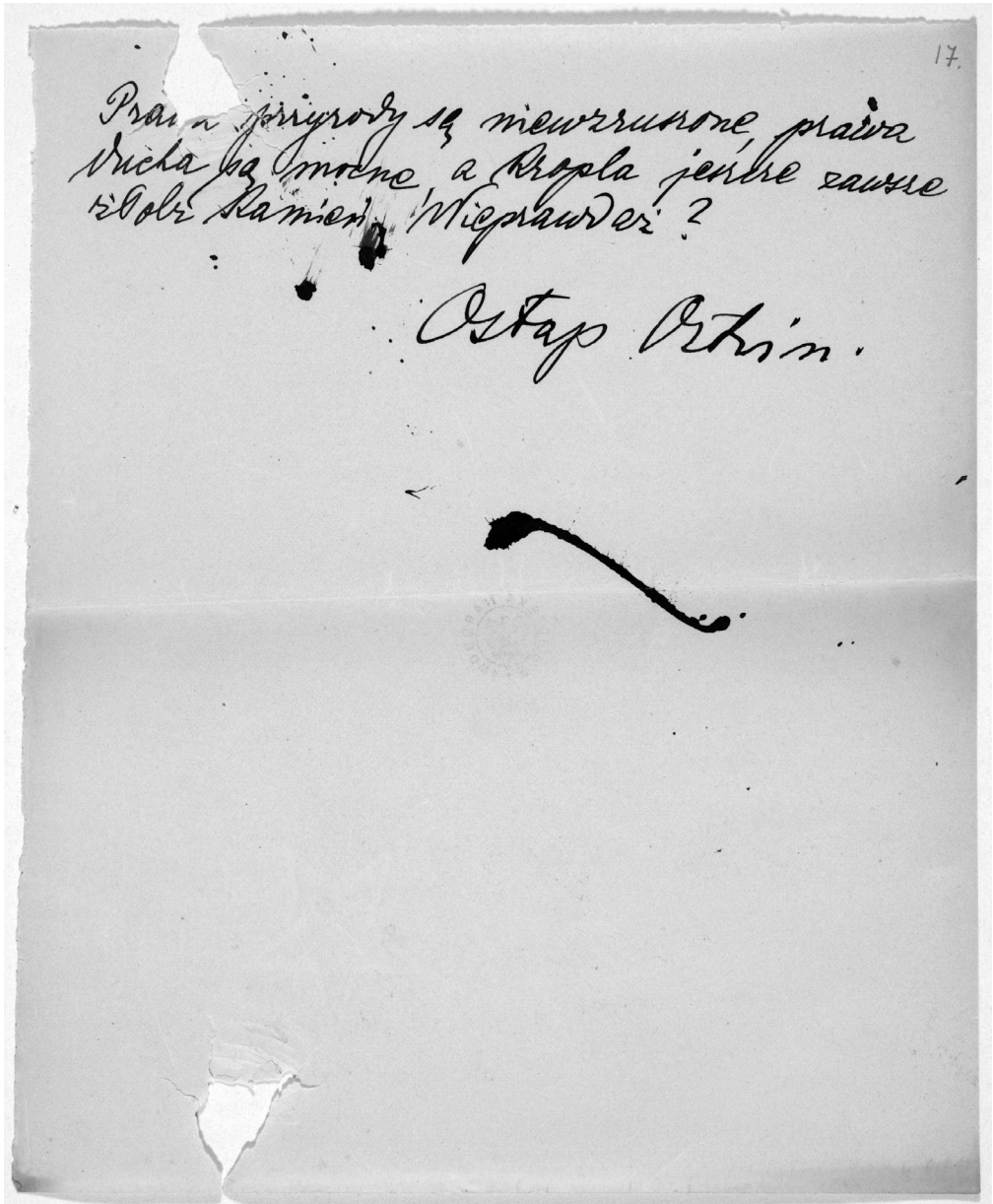
² *Korespondencja Zenona Przesmyckiego*, Biblioteka Narodowa, rps 2857 III, k. 1–2.

Jak przyznaje sam autor, pod wpływem przyjętej konwencji publicystycznej „nieco bawi się w radykała” i formułuje wiele krytycznych ocen pod adresem publiczności lwowskiej, postrzegając jej wady jako część zjawiska nowoczesnej europejskiej publiczności literackiej. Przy okazji podkpiwa sobie z narodowego poczucia dumy. Z perspektywy Ortwina przełom XIX i XX wieku jest czasem pewnego zastoju w lwowskim życiu literackim, naskórkowości w recepcji prądów modernizmu i secesji, stającymi się chwytliwymi hasłami, dziennikarskimi kliszami, przez które opisywane są zjawiska kultury. Krytyk nie szczędzi zgryźliwych uwag w związku z repertuarem teatralnym, wystawami sztuk plastycznych, życiem literackim i czasopiśmienniczym, konstatając ścisłą relację między gustami odbiorców a strategiami instytucji kultury. Tępi powierzchowność ocen, bezrefleksyjne naśladownictwo, uleganie modom. Diagnostuje wyczerpanie bojowej fazy modernizmu wraz z upadkiem krakowskiego „Życia”. Spomiędzy tych krytycznych uwag dobiega znany nam ton młodopolskiego sprzeciwu wobec „mieszczańskiego bezducha”, drenującego kulturę z jej żywotnych i oryginalnych treści.

Jak wiemy, *habent sua fata libelli* (Terencjusz). Dotyczy to oczywiście rękopisów. Czy nie jest ironią losu, że jeden z najwybitniejszych polskich krytyków przełomu XIX i XX wieku³, Żyd, który szczylił się tym, że jest majorem Wojska Polskiego i nie chciał nosić opaski z gwiazdą Dawida, zginął we Lwowie wiosną 1942 roku, rozstrzelany przez gestapowców, a publikowany niżej rękopis jego artykułu dotrwał do naszych czasów, ale także z raną? Widać na nim ślady uszkodzenia odłamkami pocisku.

Podany do druku artykuł został zmodernizowany pod względem ortografii oraz interpunkcji, zachowano osobliwości pisowni.

³ Zob. K. Sadkowska, *Lwowska krytyka literacka 1894–1914. Tendencje i problemy*, Warszawa 2015, s. 151–225.



Rękopis BN, 5407 II, karta 17r, z podpisem Ostapa Ortwina
i śladem po pocisku

[O PUBLICZNOŚCI LWOWSKIEJ]

(opracowała Magdalena Rudkowska)

Pędzimy duchowy żywot drobnoustrojowców, jak małże drzemiemy na piasku mielizny, a tyle sił utajonych mamy w sobie, tyle nieobudzonej energii potencjalnej, że moglibyśmy żyć, jak lud z ziemi wyrosły, wykarmiony mlekiem wilczyc.

A jednak nie mamy powodu się wstydzić. Cywilizacji dotrzymujemy kroku. Nie jesteśmy ani gorsu, ani lepsi od publiczności reszty globu ziemskiego. Stanowimy godną część ogólną międzynarodowej inteligencji konowalów o upodobaniach drwalów z Suburry¹ i gustach kumoszek windsorskich. Cywilizacja wypompuwała i nam krew z serca, i nam zagwoździła mózgi, a czart wie, jakich trzeba będzie przewrotów w kulturze i jakich przeobrażeń społecznych, aby tych cywilizowanych widzów, słuchaczy i czytelników odcywilizować.

Nie kalam własnego gniazda, nie narzekam na jakieś wyjątkowe uposiedzenie. Mieszkańcy znad Pełtwi nie różnią się pod względem ogólnych cech kulturowych od bratnich duchów znad Tamizy, Sekwany czy Wiedeńki. Gwoli zadowolenia dumy „krajowej” należy to podkreślić. Stoimy na poziomie zagranicy, nie mamy sobie nic do wyrzucenia. Wzorujemy się na przykładach obcych; naśladowania nasze lakierujemy jeno swojskim pokostem, wnosząc swój własny, rodzimy ton w niezmaconą harmonię mieszczańskiego bezducha².

Cierpimy również na familijne zamknięcie horyzontów, jesteśmy także chodzące stodoły na przednówku, w garkuchniach filisterii karmią i nas duchową braką i owsianym chlebem. Szczycimy się wąską pierśią, giętym karkiem, lepkimi palcami i wzrokiem zyzującym za drogowskazami najmniejszego wysiłku. Nie udźwigniemy żadnego ciężaru: własnego czoła nie umiemy podnieść w górę. Nie potrafimy patrzeć prosto w oczy ani ludziom, ani życiu, ani prawdom. Zmiatamy proch przed haruspeksami, pozwolimy rej wodzić muftom szachom i uleom; protegujemy bierne cnoty i zgodliwy temperament; nowatorów zadziobaliśmy na śmierć; prądom stawiamy słu-

¹ Suburra – zatłoczona dzielnica starożytnego Rzymu zamieszkała przez biedotę, także dzielnica rozpusty

² Por. C. Jellenta, *Cieplarnia bezducha* (pierwodruk w: W. Nałkowski, M. Komornicka, C. Jellenta, *Forpoczty*, Lwów 1895).

zy, aby cuchły; mikroby idei tępimy dezynfekcją³, rozum blokadą i kordonek zdrowia. Lubimy limoniadę, ślaz, likier, ciepłą kąpiel, watowane futerały, papucze, szlachetność i pomadki. Cenimy dobre chęci i dobroduszną przeciętność. Apoteozujemy połowiczność, organizujemy się w życiu i literaturze w michałkowe bractwo niezamożnych w duchu. Aby termometr nie poszedł w górę, aby jare soki dusz nie chciały fermentować w ogniste wina, aby się jaki śmiałek z brzegu nie rozzuchwalił do eksploatacji żywej, kipiącej siły ludzkiej.

Biedny Tomek, któremu jest zimno, który się dusi w takiej atmosferze, zna przyczyny i skutki. Biedny Tomek nauczył się wszystko usprawiedliwiać. Biedny Tomek miał czas się przyzwyczaić i wie, że cierpliwość jest jedną z kardynalnych cnót ewangelicznych. Nie dziwi się już ani oburza, wystarczy mu skonstatować sucho i sprawozdawczo faktyczny stan rzeczy, urzędowo zdać raport. Może zachować przy tym namaszczoną powagę i obojętność pedelów i famulusów wiedzy habilitowanych po uniwersytetach. Zna on przecież niepoprawnych utopistów i zaciekłych duchoburców, którzy wytrenowali się w milczeniu, bo „gdzie dłużej już nie można kochać, należałoby przejść mimo”, a dusze, które są, jak słupy płomienne, ignorując, najlepiej czynią. Natomiast każdy prawie druh sąsiad z naprzeciwka w chwili ataku szczerości z rozczuleniem potwierdzi, że daje się mocno odczuwać posucha na charakteru i że pod względem idei jesteśmy niewypłacalni.

Tak trudno nam się zdobyć na myśl jak na podatek. Obie instytucje jednakowo nienawidzimy. Tylko że podatki wysysają nas do znaku uświęcone sankcją przymusowej egzekucji, a na nadmiar wyszafowania się kapitałów duchowych nie możemy się uskarżać, bo *wo nichts ist, da hat auch der Kaiser sein Recht verloren*⁴. Zabijcie nas, nie wyciśnięcie nam z ducha jednej nowej idei, a który się ośmielił ćwierćgębkiem jaką wygłosił, skazałaby go opinia ostracyzmem niechybnie na dożywotne wydalenie z granic publicznego szacunku. Zresztą i tutaj podajemy fałszywą fasję⁵. Ideofobia grasuje u nas epidemicznie. W zamian za to wydoskonaliśmy się do wybujałości tkwiące w człowieku instynktu gapiowskie. Polujemy na sensację, gonimy za najświeższą modą najnowszych żurnalów. Pozujemy na modernistów i secesję i to jest obecnie nasz tytuł do sławy.

Popisujemy się znajomością nazwisk, wyczytanych za szybą księgarnianą. Przy tym okazujemy komiczny brak wszelkich zdolności orientacyjnych. Wszystko zaopatrzone w pocztową datę dnia wczorajszego gotowiliśmy po-

³ Por. S. Szczepanowski, *Dezynfekcja prądów europejskich*, „Słowo Polskie” 1898, nr 40.

⁴ Przysłowie niemieckie. Polski odpowiednik: „Z próżnego i Salomon nie należy”.

⁵ Deklaracja podatkowa.

chopnie uważać za dzieło nowego ducha i nowej formy. Jajo, które kura wczoraj zniosła, apoklamujemy cudownie epokowym zjawiskiem w świecie; każde niemowlę, które jutro postawi pierwszy kroczek od mamy do taty, kreujemy na geniusza wprowadzającego sztukę i literaturę na nowe i nie-deptane dotąd ścieżki. Każdą książkę, świeżo oprawioną w stylową okładkę, wertujemy zachłannie jako wyznanie wiary jakiegoś oklepanego modernizmu. Kąpiemy się w nastrojach. Pierwszy lepszy erudyta reporterii posiada „impresje” i „nastroje”. Pisze „nastrojami”, mówi o „nastrojach”, widzi alfę i omegę nowej „modernistycznej” dekadenco-symbolicznej poezji. Wyłapuje się stąd i zowąd wyszkrobki niedonoszonych frazesów i lepi najkomiczniejsze w świecie definicje i teorie ku pouczeniu i zbudowaniu Bogu ducha winnych prenumeratorów. A nie posiada się przy tym żadnego kryterium, żadnej zasady, żadnego – choćby widzimisię; postępuje się zupełnie bez wyboru, węszy za modernizmem nawet tam, gdzie o nim się nikomu nie śniło. Nie zna się różnic, nie odczuwa podobieństw; o psychologicznej i porównawczej metodzie jeszcze się nie wie: autor, który trzydziestu lat nie skończył, musi być już samo przez się z wieku i urzędu modernistycznym spiszkowcem. Przez takie postawienie kwestii tworzą się zabawne dziwolaży. Za dzieła powagi ducha uważa się książki i sztuki, którymi rozczuliłyby się nasze prababki, z gracją ocierając słodkie łyż z cudownych oczu batystowymi mouchoirami⁶. A jest to woda na młyn powszechnego, normalnego smaku estetycznego. Podobają nam się jeszcze zawsze sztuki – tylko boimy się do tego głośno przyznać – pełne reminiscencji starych, dobrych czasów. Awantury melodramatyczne, brutalny anarchizm sytuacji, walki cnoty z złością ludzką, męczeństwa niewinności. Krwawa martyrologia i kliwy sentymentalizm nie przestały jeszcze ani na chwilę upajać duszę przeciętnego widza i czytelnika. To go tylko bawi, to interesuje, co wedle utartego terminu da się podciągnąć pod rubrykę „miłych i pożytecznych rozrywek”. Jeżeli w Londynie *Price of Peace* na scenie Drury Lane⁷ teatru gromadzi kilkakrotnie razy rozentuzjasmowaną publiczność; we Francji *Cyrano* i *L'Aiglon* banalnego Rostanda⁸ stanowi odrodzenie sztuki dramatycznej i powrót do szlacheckich tradycji; my, *mutatis mutandis* nie wahałobyśmy się zesłanego roku panią Maskoff⁹ za jej ordynarnie i *par force* patriotyczne sztuczdyła

⁶ Z fr. chusteczka.

⁷ Sztuka Cecila Raleigha *The Price of Peace*, wystawiona na scenie londyńskiego teatru Drury Lane 20 września 1900.

⁸ *Cyrano de Bergerac* (1897), *L'Aiglon* (1900) – sztuki Edmonda Rostanda. Premiera *Cyrana* odbyła się na początku roku 1899.

⁹ Józef Maskoff – pseudonim Gabrieli Zapolskiej. 5 marca 1898 na scenie Teatru

obrzucać wieńcami laurowymi, a *Zaczarowanym kołem*¹⁰ Rydla święcić tryumfalny wjazd romantyzmu i poetycznej poetyczności na scenę.

Trzymamy się zaś takiej procedury rozumowania: sztuki te przedwzoraż skrojone uszyte bez wątpienia są, chronologicznie biorąc, modernistyczne; nam one się niezmiernie podobają, odkrywamy w nich jakieś cienie prawdopodobnych podobieństw do poematów ze złotych okresów literatury, które nam tkwią jeszcze w pamięci z czasów szkolnych, są to zarazem niechybnie arcydzieła ducha ludzkiego. W ten sposób utwory efemerycznej wartości otrzymują rozgłos dzięki mnemotechnice autora i publiczności.

Zapełniamy więc kilkanaście razy z rzędu raz po raz widownię na konkursowych faramuszkach, mimo całą sympatią, na jaką osobiście zasługuje bajczarskiego Rydla, stanowiących niesmaczną miksturę czasów, stylów i zwietrzałych pomysłów z trzeciej ręki wziętych pomieszanych z poetycznym kleikiem dla milusińskich na św. Mikołaja. Największe wrażenie czynią ustępy, w których milczy poeta, a interweniuje umiejętnie maszynista teatralny. A trzeba przyznać z naciskiem nieocenionemu dyrektorowi nowego teatru p. Pawlikowskiemu i jego trupie, że co do nich należy, doprowadzają do możliwej, u nas dotąd niebywałej doskonałości wykonania. A robią to nie tylko na widowiskach dla galerii duchowej, rozsiadającej się w łóżach i w parterze, ale w ogóle na wszystkich drobiazgowo opracowanych przedstawieniach. Tylko, że rozkosz słuchania i patrzenia podczas wybitniejszych dzieł dramatycznych publiczność ceduje pustym siedzeniom. Tak było z Bogusławskiego *Spazmami modnymi*¹¹, ze Słowackiego *Dejanirą*¹², ze wspaniałą, wstrząsającą fatalizmem ślepych instynktów erotycznych tragedią Przybyszewskiego

Miejskiego w Krakowie (we Lwowie 30 stycznia 1899) wystawiono sztukę *Tamten. Dramat współczesny w 5 aktach*, nawiązujący do warszawskich stosunków politycznych (wersja tytułu *Pod zaborem*). Pawlikowski w inscenizacji zdecydował się zneutralizować polityczne wydźwięki aluzjami erotycznym (np. scena w restauracji). Fragm. utworu opublikowało „Życie” (1898, nr 11) pt. *W przywiślańskim kraju*; zob. <https://encyklopediateatru.pl/przedstawienie/61705/tamten> [dostęp: 2022-09-30].

¹⁰ Podtytuł: *Baśń dramatyczna w 5 aktach wierszem*. Powst. 1898. Wystawiono z muzyką F. Szopskiego w Krakowie 15 IV 1899; we Lwowie 2 XI 1900.

¹¹ Komedia *Spazmy modne, czyli tegowieczne małżeństwo* Wojciecha Bogusławskiego (prapremiera 5 III 1797 we Lwowie) – przedstawienie w Teatrze Miejskim we Lwowie, 8 X 1900.

¹² Dramat *Fantazy* Juliusza Słowackiego – pierwodruk w trzecim tomie pism pośmiertnych (Lwów 1866); opublikowany pod tytułem *Nowa Dejanira* w 1898 roku. Wystawiony 12 X 1900 roku we Lwowie (z Michałem Tarasiewiczem w roli Fantazego).

Dla szczęścia¹³ i z głęboką syntezą tragizmu w symbolicznym „prologu” Kasprowicza¹⁴.

Jako atut w argumentacjach mających dowieść wysokiej kultury lwowskiego społeczeństwa jest niezaprzeczalny fakt, że na mistrzowsko, stylowo odgrywanych komediach Fredry (komedie są u nas w ogóle jedynie w łaskach), jak *Dożywocie*, *Pan Jowialski* czy *Damy i huzary*, teatr jest stale wyprzedany. Podobnie rzecz się miała z *Balladyną*¹⁵ przed laty. Nie wchodzę w rozbiór i szczerą wartość upodobania publiczności w tych właśnie utworach, która by się jeszcze dała zakwestionować, ale to pewna, że rzeczy, które są zaszczycone stemplem oficjalnego uznania, które podręczniki szkolne są zmuszone sławić jako arcydzieła, które guwernantki pupilkom każą się ustępami uczyć na pamięć, ba! co więcej, o których wykłada nawet profesor literatury polskiej na katedrze lwowskiego uniwersytetu (albowiem istnieje taka katedra i wykłada taki profesor¹⁶), że te rzeczy siłą sugestii i przyzwyczajenia muszą się podobać. Czego dowodem, że sztuki mniej znane z lat szkolnych, jak właśnie *Dejanira* lub *Spazmy modne* nie są mile widziane. Publiczność czuła się nawet wystawieniem ich w swej osobistej dumie urażoną. „Cóż to? Pawlikowski chce nas uczyć literatury? cóż to? czy teatr jest salą wykładową?”. Dąsała się, wzruszała ramionami. I pan Pawlikowski był w obowiązku na przeprosiny dać *Naszyc najserdeczniejszych* Sardou¹⁷ lub taką przeklętą ramotę [...], jak *Czerwona toga*¹⁸, premiowana przez paryską akademię umiejętności. (Widocznie konkursy wydają wszędzie jednako problematyczne rezultaty).

Co prawda, publiczność ma rację. Publiczność ma zawsze rację. Czego ona nie chce, teatr nie powinien wystawiać. Na tę *suprema lex* nie ma rady. I pan Pawlikowski miał słuszość, kiedy na bankiecie (*à propos*: każda sfera życia społecznego ma u nas swe specjalne bankiety, które są jedynie godnym, tradycyjnym finałem wszelkich uroczystości i jubileuszów); otóż pan Pawlikowski miał słuszość, głosząc przy sposobności sakramentalnie nieodzownego toastu, że nauczyły go doświadczenia nie przodować publicz-

¹³ Dramat Przybyszewskiego wystawiony we Lwowie 24 X 1900.

¹⁴ *Baśń nocy świętojańskiej* – prolog na otwarcie nowego teatru we Lwowie (ukończony przez Kasprowicza w sierpniu 1900).

¹⁵ *Balladyna* (1839) – prapremiera 7 III 1862 w Teatrze Skarbkowskim.

¹⁶ Roman Piłat kierował katedrą w latach 1874– 1901.

¹⁷ *Nos intimes* (1863) Sardou – komedia wystawiona w Teatrze Miejskim we Lwowie 19 X 1900.

¹⁸ *Czerwona toga*, sztuka w 4 aktach Eugène’a de Brioux, przekład Heleny Egerowej, premiera 5 XII 1900 we Lwowie.

ności dalej niż o jeden krok¹⁹. Nigdy nie udaje się eksperyment narzucenia publiczności ze sceny upodobań dramatycznych. Gotowa egzaltacja w duszach pewnych grup publiczności tworzyła sobie zawsze, jak uczą dzieje dramatu, swe tragiczne obrzędy na scenie i siłą przekonania tudzież agitacją poza murami teatru, zaorywała w społeczeństwie grunt podatny na przyjęcie nowych ekstatycznych idei tragizmu. To powinno by być obecnie ideałem i celem szczupłej garstki zapaleńców, rojących nowożytnie radykalne marzenia o reformie teatrów. Wszędzie, a zwłaszcza we Lwowie.

Teatr jest tu jedyną stacją, gdzie by w duszę zbiorową można rzucić najświętsze żagwie kultury, a zleniwiały obieg krwi przyśpieszać, gdzie by rytm sztuki pulsom życia nadawać, mocniejsze tętna, a serca syciły się nierozcieńczonymi kroplami intensywnie upajających trunków.

Wszędzie indziej raczą nas zresztą homeopatią, a kubek podany krwi neutralizuje się z obowiązku kwartami słodkawej wody, zabarwionej burakowym sokiem. I tak: jesteśmy wprowadzić muzykalni. Ale zawsze w miarę. Bez egzaltacji, proszę pana radcy! Uprawiamy muzykę od święta. Aranżujemy statutem nakazane galowe koncerty. Co prawda, czasem, choć rzadko, dajemy się porwać. Byłem już świadkiem wybuchów, za przeproszeniem pana radcy, entuzjazmu. Materiału nam zatem nie brak, czekamy jeno po zwyczaju z założonymi rękoma na młodszych, nieznanach, energiczniejszych organizatorów, którzy się nie rodzą. Nie odczuwamy po prostu fizycznego głodu muzyki; nie jest ona dla nas niezbędną potrzebą duchowego życia. Interesujemy się nią, po dyletancku, w wieczorkową, dekoltowaną liberię wystrojona publiczność. Obecnie z niecierpliwością przywiązujemy cień jakiejś nadziei poprawy stosunków pod tym względem do zapowiedzianych koncertów symfonicznych teatralnej orkiestry. Może się ta obietnica spełni, a może, jak wszystko – rozbije się o tę stałą, podolską niechęć wszelkiej rańniejszej pracy, którą tu czuć w powietrzu.

Mała rewolucja pałacowa zdałaby się także w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. O malarzach i obrazach publiczność lwowska wie prawie tylko z czasopism (których nie czyta) i z opowiadań. Na wystawie Towarzystwa utwór wybitniejszy traktuje się zasadniczo jako wyjątkowy, sensacyjny biały kruk i wabik dla pomnożenia dochodów. Niesłychanie rzadko ma się tam sposobność oglądania dzieł polskiego artysty spoza Lwowa, nigdy prawie nie stara się zarząd o sprowadzenie obrazu, który by publiczność naocznie zaznajomił z bogatą twórczością nowoczesnej doby. Stale wprowadzić obywateli na wystawę artyści we Lwowie zamieszkali i odnosimy z tego pożytek i pociechę, bo nam niektórzy z nich w oczach rosną. Ale sam fakt ten wła-

¹⁹ Bankiet pożegnalny – zob. „Czas” 1899, nr 149.

śnie zmienia lwowski salon w pewnego rodzaju prywatne atelier lub nawet, co gorzej, w halę targową tutejszych artystów, a to czyni i ujmę rozwojowi kultury estetycznej u ogółu i uszczerbek dotkliwy samym wystawcom.

Z zamiejscowych rzeczy podziwialiśmy w ostatnim czasie kilka akwarel Fałata²⁰ i obrazy Ruszczyca. Szkoda jedynie, że nie postarano się o *Orkę*, o tę cudownie mistyczną *Orkę* Ruszczyca, którą Kraków oglądał²¹. Z obyczajny sprowadza się zresztą wybrakowane płótna kolosalnych rozmiarów i wtedy afiszuje się to proporcjonalnie mamutowymi plakatami. Ten obojętny szczególnie doskonale charakteryzuje nasze upodobania. Wielkość obrazu mierzymy na łokcie zamalowanego płótna. Im większą powierzchnię obraz zawieszona w salonie, tym gorętsze wzbudza zainteresowanie, tym silniej odwieść publiczność wystawę. Jak zaś w nieestetyczny sposób działa się wtedy na widzów, dowodzi autentyczny fakt, że *Dirce* Siemiradzkiego²², która ściągająca była zeszłego roku tysiące widzów, w jasny biały dzień pokazywano ludowi za spuszczoneymi storami przy oświetleniu gazowym.

Znakomite krakowskie grono malarzy ignoruje nas zasadniczo od czasu zbiorowej wystawy przed dwoma laty urządzonej, którą prasa przyjęła w najpoczytniejszych pismach śmiechem, wzdargą i naigrywaniem się, a publiczność chłodną obojętnością.

Tak więc pod względem sztuki plastycznej stosunki nasze przedstawiają się najgorzej i więcej niż smutnie. Przyczyna leży w ospałości i zaskorupiałym w starzyźnie lenistwie. Wszystko, co ma imię i stanowisko, co reprezentuje, tak odwykło od wszelkiej energiczniejszej działalności, że nawet skromne nawoływania i nieśmiałe upomnienia ze strony recenzentów pism codziennych pozostają bez skutku. Zdałaby się tedy u nas stanowczo mała rewolucja estetyczna. Młodzi powinni by zapukać do drzwi rozmaitych instytucji, stworzonych rzekomo dla pielęgnowania sztuki i literatury i upomnieć się o czyn rozwojowy. Ale młodych moglibyśmy na palcach policzyć, a ci, co są, nie mają zaczepnej odwagi. A dany sygnał skupiłby niechybnie moc zwolenników, stojących na uboczu. Księgarnie umiałyby podać statystyczny wykaz wzrostu zamięłowania poważnej literatury i artystycznych wydawnictw i wzmagającego się pokupu książek. Ale młodzi nie mają odwagi. Był czas – niedawno jeszcze – jakiegoś gorączkowego podniecenia i oczekiwania z dnia na dzień „cudu” kultury. Były to chwile miodowych miesięcy literatury w Galicji, kiedy w Krakowie świeżo wystawiono sztan-

²⁰ Wystawa zorganizowana 4 X 1900 przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych.

²¹ Właściwie: *Ziemia* (tytułowana też: *Orka, Woły*) – obraz Ferdynanda Ruszczyca powstał w 1898 r. (olej, płótno, 171 × 219 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie)

²² Zob. „Wiadomości Artystyczne” (Lwów) 1899, nr 1.

dar „Życia”²³. Dziś zapaly ostudziły się, junactwo gotowe iść „na przebój” ostygło. Rozsypało się to wszystko, milczy i czeka. Kto wie? może to i dobrze; może mają słuszość.

Młodzi mają czas, młodzi mogą czekać. Prawa przyrody są niewzruszone, prawa ducha są mocne, a kropla jeszcze zawsze żłobi kamień. Nieprawdaż?



Magdalena Rudkowska (The Institute of Literary Research of Polish
Academy of Sciences)

ORCID: 0000-0003-2857-1369, e-mail: magdalena.rudkowska@ibl.waw.pl

OSTAP ORTWIN ABOUT THE LVIV AUDIENCE. FROM A SHOT
THROUGH MANUSCRIPT

ABSTRACT

The published critical article comes from Zenon Przesmycki's archive, which survived World War II, and this is symbolized by the traces of bullet damage on the manuscript. The article by Ostap Ortwin (true name Oskar Katzenellenbogen, 1876–1942) the eminent Polish literary critic of Jewish descent dates from the late 1900s and contains a lot of irony about the taste of the cultural audience and the mechanisms of cultural life development in Polish Lviv at the turn of the 19th and 20th centuries.

KEYWORDS

cultural life, audience, Ostap Ortwin, Zenon
Przesmycki, Lviv, literary criticism



²³ Założone w 1897 roku przez Ludwika Szczepańskiego, w 1898 roku pod redakcją Stanisława Przybyszewskiego – przetrwało do stycznia 1900.